płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—30 · XI · 1985 | 22

Fot. Stefan Rutkowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! •

LĄDY zajmują 29 procent powierzchni naszej planety, a morza i oceany — aż 71. Ale z lądowych obszarów uzyskujemy 99 procent pożywienia, a z mórz i oceanów — zaledwie 1 procent. Uczeni z wielu krajów pracują nad tym, aby z mórz można było otrzymywać więcej żywności. Już obecnie powstają tzw. gospodarstwa morskie. Na podwodnych farmach hoduje się ostrygi i inne mięczaki, jak również niektóre wodorosty potrzebne w przemyśle spożywczym. Buduje się także sztuczne morskie rafy, a w nich zakłada hodowle ryb.

•

POLSKIE RADIO nadaje audycje dla zagranicy w 11 językach, a mianowicie: w języku francuskim, angielskim, niemieckim, włoskim, hiszpańskim, szwedzkim, duńskim, fińskim, arabskim, esperanto i w języku polskim — przeznaczone dla Polaków mieszkających za granicą.

•

W WODACH AMERYKI Południowej żyją ryby dwudyszne. W razie wysychania rzek potrafią one oddychać powietrzem atmosferycznym. Rybom tym płuca zastępuje bardzo ukrwiony pęcherzyk pławny.

ROCZNIE spływa do mórz i oceanów około 6 milionów ton ropy naftowej. Metr sześcienny ropy po 30 godzinach stwarza plamę o powierzchni 1 km kwadratowego, a 1 tona ropy zajmuje 15 km kwadratowych.

Powodem zanieczyszczenia wód ropą są dość częste katastrofy tankowców, wycieki powstałe przy eksploatacji podmorskich złóż oraz przy oczyszczaniu zbiorników na statkach.

•

NA WYSPACH archipelagu Tokelau, na południowym Pacyfiku, żyją świnie, które świetnie pływają i łowią ryby. Odżywiają się głównie darami morza.

•

Z 1 TONY STALI można wyprodukować 168 pralek lub 40 lodówek, 20 wanien lub 1100 sztuk naczyń emaliowanych, lub też dwa Fiaty 126p.

•

W WIELU republikach Związku Radzieckiego obowiązuje „Kodeks leśny", w myśl którego w pobliżu dużych miast wyznacza się strefy wypoczynku lasu i okresowo zabrania się wchodzić tam turystom. Wtedy las odpoczywa.

Nasza okładka:

Na spotkaniu w Węgrowie

JESIENNY ZMIERZCH

Deszcz gra cichutko
na szybach okien,
wiatr mu wtóruje
w zeschniętych liściach,
chmura jak smok
z pękatym bokiem
nad domy nasze
ze zmierzchem przyszła.

Na ścianie
zegar godziny liczy,
długą wskazówką
jak wąsem rusza.
Przez komin w dachu,
przez mysią dziurkę,
wchodzi na palcach
wieczorna cisza. (...)

Jadwiga Hockuba
Rys. Wiesław Majchrzak

A TERAZ - SIEDLCE!

Pojechaliśmy w dwóch „płomyczkowych" grupkach. Jedna wprost do Siedlec, potem do Łukowa i Woli Okrzejskiej. Druga do Węgrowa i Liwa.

A oto niektóre zdobycze z tej podróży:

— materiał o łukowskich amonitach,

— wiersze dla dzieci młodego autora z Siedlec, **Stefana Todorskiego,**

— artykuł o dzwonach z Węgrowa,

— znajomość z panem Antonim Cybulskim, opiekunem pamiątek po Henryku Sienkiewiczu w Woli Okrzejskiej,

— materiał z „Misia" — z siedleckiej fabryki zabawek (który zamieścimy nieco później, w świątecznym numerze „Płomyczka").

W sąsiedztwie tych zdobyczy drukujemy utwory twórców znanych i uznanych, a jednocześnie związanych z Podlasiem i tą częścią Mazowsza, która wchodzi w obszar województwa siedleckiego.

Więc przede wszystkim głośno i z wielkim uszanowaniem wymawiamy imię i nazwisko **Henryka Sienkiewicza** — autora „Trylogii, „Quo vadis", „Krzyżaków" „W pustyni i w puszczy". I równie serdecznie mówimy o **Tadeuszu Chróścielewskim** rodem z Mińska Mazowieckiego, który chociaż od wielu lat mieszka w Łodzi, to jednak stale w swoich wierszach i powieściach powraca na Podlasie i na „swoje" Mazowsze.

*

A teraz słowo o tym, czego nie zobaczyliśmy, bo trudno za jednym przyjazdem poznać całą Ziemię Podlaską. Na później więc (w innej formie) zostawiamy sobie Garwolin, Żelechów, Sokołów Podlaski, Kałuszyn i Mordy (które ongiś, przed pobiciem tutaj Jadźwingów, Białym Kamieniem się zwały). Nie ominiemy także Treblinki.

— A co z Mińskiem Mazowieckim?

Powrócimy tu nie raz i nie dwa, pójdziemy tropami artystycznych wędrówek sławnych XIX-wiecznych ma-

larzy: Michała Elwiro Andriollego, Wojciecha Gersona, Józefa Rapackiego. Jednym słowem, długa droga przed nami nie tylko przez Podlasie i Mazowsze, ale przez cały, jakże piękny krajobraz przyrody, ludzi, historii — Polski.

Bardzo dziękujemy Wydziałowi Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, a zwłaszcza Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej, Szkołom i Dzieciom za serdeczne przyjęcie na gościnnej Ziemi Sienkiewiczowsko-Siedleckiej i za pomoc na początku tej naszej drogi przez kraj.

Tadeusz Chudy

WOJEWÓDZTWO SIEDLECKIE leży w środkowowschodniej części Polski między doliną Bugu i Wisły. Zajmuje obszar 8,5 tys. km² i liczy ponad 633 tys. mieszkańców.

Województwo ma 59 gmin wiejskich i 13 miast. Największymi z nich są: Siedlce, Mińsk Mazowiecki, Łuków, Sokołów Podlaski, Garwolin i Węgrów.

Pod względem gospodarczym jest to region rolniczo-przemysłowy. Rolnicy z województwa siedleckiego przodują w uprawie ziemniaków i produkcji mleka. Jest tu rozwinięty przemysł spożywczy. W ostatnich latach powstały inne rodzaje przemysłu, jak: odlewniczy, elektromaszynowy, elektroniczny, odzieżowy, dziewiarski, skórzany i zabawkarski.

Ratusz w Siedlcach

Rys. Zdzisław Byczek

ZBLIŻAŁ SIĘ WIECZÓR...

Sienkiewicz spędzał wakacje w Woli Okrzejskiej u rodziców chrzestnych, wuja Adama i cioci Józefy, w domu, w którym się urodził. Był sam — choroba Mani zatrzymała rodziców i siostry w Warszawie. Nawet rówieśników nie miał, bo wujostwo byli bezdzietni. W Burcu mieszkali kuzyni w jego wieku — Dmochowscy — lecz do Burca był szmat drogi, siedemnaście wiorst. Dawniej w Burcu bawił się i uczył z ciotecznym rodzeństwem. Obszerny modrzewiowy dom, z przybudówką i oficynami, zawsze wiele osób mieścił. Kiedyś huczało w nim od rana do wieczora. Teraz w Burcu panowała pełna niepokoju cisza — odkąd Zdzisław Dmochowski, kuzyn i drugi ojciec chrzestny Sienkiewicza, wstąpił do oddziałów powstańczych.

Sienkiewicz skorzystał z tego, że po sianokosach konie miały mniej roboty w polu, i wybrał się do Burca. Dzień późno się kończył i mógł długo chodzić po burzeckim ogrodzie. Znał w nim każdą ścieżkę, każdy mostek.

Krążył po ogrodzie z Leonem, Helenką i Zosią Dmochowskimi, jak za dawnych czasów, gdy bawił się tu w Indian. Zanurzali się w kłębowisko roślin torując sobie drogę do stawu. I naraz otwierała się szeroka przestrzeń — wielka woda, lekko pomarszczona, zielononiebieska, ciemniejsza od wyblakłego nieba. Chybotały się na niej strzępy kwiatów, łupiny i strączki, zielone płaty lilii wodnych; po drugiej stronie szarzały zamglone trzciny i szuwary. Stado dzikich kaczek zerwało się z przeciwnego brzegu i pomknęło w górę, niknąc wkrótce z oczu. Dalej, za olbrzymim stawem, majaczyła sina ściana lasu.

Zbliżał się wieczór; słońce padało ukosem. Od strony Siedlisk raziło w oczy żyto falujące na pagórkach, u podnóży widać było smugi kartoflisk i łubinu.

Ile razy tędy chodził — do Siedlisk i do Wólki Domaszowskiej! Przed kilkoma laty, wracając przy zachodzie słońca, na tej drodze układał wiersz, a Helenka Dmochowska i Zosia dorzucały słowa od siebie: o dziadku Rostworowskim i Kostuni, jego siostrze, o kłopotach z krową dziadka posłaną

Dworek w Woli Okrzejskiej, w którym mieszkał wraz z rodzicami przyszły autor „Trylogii"

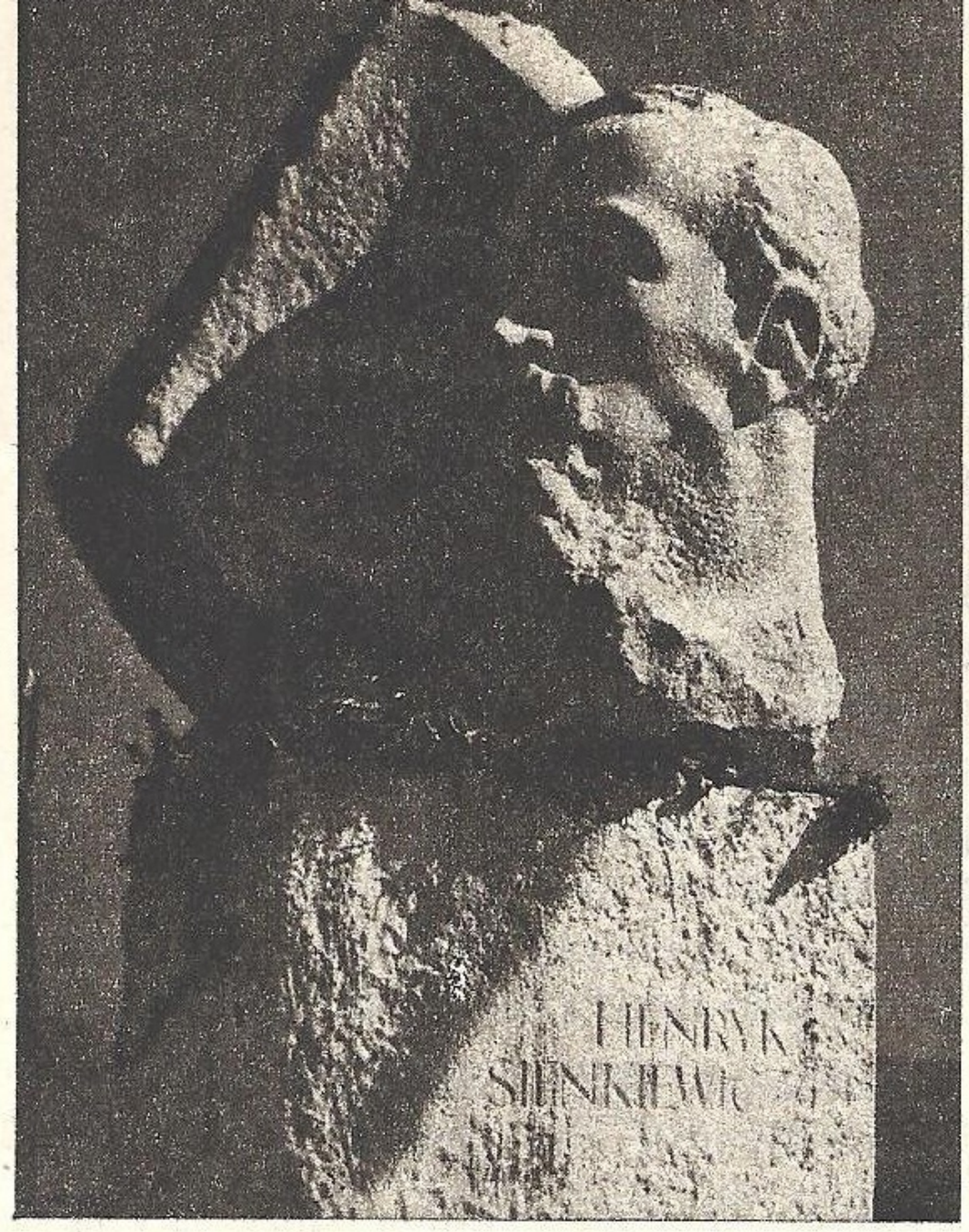

Pomnik Henryka Sienkiewicza w Woli Okrzejskiej, wieńczący kopiec Pisarza, projektowany przez Mariana Gardzińskiego

na jarmark i Filuniu, który sparszywiał na grzbiecie. Filunio był ulubionym pieskiem dziadka. Dziwactwa Rostworowskiego stanowiły ulubiony temat żartów dzieci. I rymy, wspólnymi siłami wówczas sklecone, opiewały jego troski. Do tej chwili zostały w pamięci fragmenty tej poezji dziecięcej:

Magnezji nie ma u Golderiwy,
A mnie brzuch boli, o ja niesczęśliwy!
Niechże dziadek trochę poczeka,
Wszak w Adamowie jest jeszcze
apteka...

Golderiwa wciąż miała sklep w Łukowie zaopatrzony „we wszystko". Nadal była apteka w pobliskim Adamowie. Tylko dziadek Rostworowski zakończył swe ziemskie interesy. I on, i Kostunia — spoczywali w grobie rodzinnym na cmentarzu w Wojcieszkowie. W Burcu jakoś szybko o nich zapomniano. W Burcu wszyscy byli myślą przy kuzynie Zdzisławie.

— Podobno był pod Radzyniem — mówiła Paulina Dmochowska. — I pod Łukowem... Spod Łukowa przysłał wieść o sobie przez pachciarza. Ale od tej pory wszelki ślad po nim zaginął. Nie wiem, gdzie jest i co robi...

— O Kazimierzu także do tej pory nic nie wiemy — wtrącił Sienkiewicz.

Wydawało się, że kuzynkę Dmochowską nie obchodzą losy Kazimierza. Nierozłącznie wiązała z sobą dwa tematy: Zdzisława i powstanie. Jakby nikt inny nie brał w nim udziału.

— Zdzisław walczy za ojczyznę, ma teraz ważniejsze obowiązki — powiedziała. — Mógłby jednak choćby słowo napisać, uspokoić nas wszystkich. Nie wyobrażasz sobie, Henryku, jakie to okropne, gdy dzień i noc drży się o życie drogiej osoby.

Łatwo zrozumieć niepokój kuzynki. Niemniej jednak irytuje to prezentowanie jakiegoś przywileju na poświęcenie i patriotyzm.

— Mój brat rodzony od początku bierze udział w powstaniu — przypomniał. — Także walczy za ojczyznę. Wiem, co to znaczy.

Stefan Majchrowski
Fragment z książki pt. „Pan Sienkiewicz"

Fot. Tadeusz Czapski

Kustosz Muzeum Henryka Sienkiewicza w Woli Okrzejskiej, pan Antoni Cybulski

TA DZISIEJSZA MŁODZIEŻ

Gdy przeszedłem do ostatniej, ósmej klasy, po raz pierwszy zacząłem się nudzić w Siedlcach u cióć. Obejrzałem, nie wiem który już raz, kolekcję porcelany z Korca i delikatne japońskie filiżanki stojące na pianinie. Uczucia pustki i nudy nie rozwiało przyglądanie się z plecionego fotelika istnemu dywanowi kwiatów szkarłatnych, białych, błękitnych, granatowych i złocistych na klombach przed domem ani wieczyście pochylonej nad nimi w pokornym zachwycie gruszy sobieskówce. Wyjęty z biblioteczki zabytkowy, bo pochodzący z siedemnastego wieku, atlas po wujku Witku po raz nie wiem już który pokazywał mi tamtą dawną Polskę. Od drugiej strony Karpat unosiła ją syrena, a jakieś gołe dziecko wpatrzone w górę jak muzykujący Chopin na obrazie Kossaka grało na podwójnym flecie na cześć naszej Kurlandii. Również nie po raz pierwszy konstatowałem z satysfakcją, że moje rodzinne miasto jest na tej mapie zaznaczone, gdy tymczasem Siedlec na niej ani widać, ani słychać.

— Może coś zjesz, Tadziu? Przyniosę ci kawałek torcika z konfiturą — zaproponowała ciocia Tosia.

— Że też nie ma tu żadnej panienki w twoim wieku! — utrafiła właśnie w samo sedno mego stanu ducha ciocia Elżbieta. — Nie jesteśmy przecież dla młodego kawalera towarzystwem zbyt atrakcyjnym. Żeby tak ktoś z naszych znajomych miał jakąś pannę Dyscyplińską! W zeszłym roku to byś się na pewno zaprzyjaźnił z Ewą Laskowską, córką naszych przyjaciół z Białegostoku... Mało domu nie rozniosła!

Dlaczego ciotka Elżbieta jest taka inna? Czemu nie pomstuje na samą myśl o panienkach w moim wieku? Przecież w tym domu kocha się tylko to, co dawne i co niezłomnie stoi na straży stateczności.

Przypomniało mi się, że mieszka tu w Siedlcach moja dawna koleżanka Marysia. Jej rodzice przenieśli się dwa lata temu do Siedlec i Marysia chodzi teraz do tutejszej szkoły. Mam nawet jej adres. Rzecz jednak w tym, że Marysia jest nijaka, nic mnie nie obchodzi i chyba nie będę miał z nią o czym mówić. Nie jest ani ładna, ani brzydka, ani wesoła, ani smutna, ani mądra, ani głupia. Nie da się z nią porozmawiać ani o tym, o czym zwykle chłopiec mó-

Pałac Ogińskich w Siedlcach, obecnie siedziba Urzędu Miasta

wi z dziewczyną, ani o historii, ani o tym, kto naprawdę rozstrzygnął bitwę warszawską: Piłsudski, Haller, Rozwadowski czy Weygand? Ale cóż, na bezrybiu i rak ryba!

Marysia nie była zaskoczona moją wizytą, bo już mnie widziała, kiedy szedłem do biblioteki miejskiej wypożyczyć jakieś książki. Stwierdziłem, że zbyt surowo ją oceniałem, zresztą być może zmieniła się przez rok. Pochwaliła Hallera za bitwę pod Rarańczą, a Smosarską za rolę Barbary Radziwiłłówny. Ale poza tym już naprawdę nie bardzo było o czym z nią rozmawiać, więc postanowiliśmy, że pójdziemy na nową plażę przed Sabinką. Pogłębiono tam staw na Muchawce, można więc popływać i poopalać się. Pomysł wydał mi się przedni; przy kąpieli i opalaniu można przecież wcale nie rozmawiać. Poszedłem do domu po spodenki kąpielowe.

Będąc już niedaleko ganku usłyszałem dochodzące z otwartych drzwi rytmiczne, o wznoszącej się, to znów opadającej tonacji, powitalne okrzyki: aa-aa-aa-aa! To przyjechał pan Sawicki — kuzyn wujka Wacka, inżynier, konstruktor cenionych za granicą dźwigów, człowiek posiadający stosunki w warszawskich wyższych sferach, a w Siedlcach mający opinię niezmiernie nowoczesnego i wolnego od wszelkich przesądów.

Lubiłem tego pana i chętnie słuchałem jego opowieści o życiu towarzyskim w Paryżu czy karnawale w Rio de Janeiro. Nie mogłem się tylko zdecydować, czy mam go nazywać panem, czy wujkiem. On również, jako człowiek arcygrzeczny, miał od jakiegoś czasu kłopoty ze zwracaniem się do mnie: czy po imieniu, czy przez „pan", a może przez „niech"...

Przywitałem się z panem, czy też wujkiem serdecznie. Chętnie bym został i posłuchał, co będzie mówił, ale Marysia czekała na mnie, a na moim słowie można polegać jak na Zawiszy.

Wejście do pałacowej oranżerii

— Co, młody człowiek nas opuszcza? — zauważył z uprzejmie przykrym zdziwieniem wujek.

— Tak. Bardzo mi przykro, ale umówiłem się z koleżanką na... nie, wcale nie na randkę, cóż znowu! Tylko, rozumie wujek, na plażę. Jest słońce i chcieliśmy też popływać razem w Muchawce...

— Sam? Z młodą osobą? Z panną? — zdumiewał się gość. — I tak na golasa, w samych tylko majteczkach do kolan?! Nie mam prawa się wtrącać, ale panie kuzynki są chyba zbyt liberalne dopuszczając do takich niebezpiecznych sytuacji. Za moich czasów nie było takiej swobody obyczajów. Ta dzisiejsza młodzież...

Tadeusz Chróścielewski

z książki pt.
„Pejzaż z Baśką i paniutkami"

Fot. Tadeusz Czapski

NASZE LEKTURY

JANKO MUZYKANT

Przyszło to na świat wątłe, słabe. Kumy, co się były zebrały przy tapczanie położnicy, kręciły głowami i nad matką, i nad dzieckiem. Kowalka Szymonowa, która była najmądrzejsza, poczęła chorą pocieszać:

— Dajta — powiada — to zapalę nad wami gromnicę, już z was nic nie będzie, moja kumo; już wam na tamten świat się wybierać i po dobrodzieja by posłać, żeby wam grzechy wasze odpuścił.

— Ba! — powiada druga — a chłopaka to zara trza ochrzcić; on i dobrodzieja nie doczeka, a — powiada — błogo będzie, co choć i strzygą [1] się nie ostanie.

Tak mówiąc zapaliła gromnicę, a potem wziąwszy dziecko pokropiła je wodą, aż poczęło oczki mrużyć, i rzekła jeszcze:

— Ja ciebie „krzcę" w Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego i daję ci na przezwisko Jan, a terazże duszo „krześcijańska" idź, skądeś przyszła. Amen!

Ale dusza chrześcijańska nie miała wcale ochoty iść, skąd przyszła, i opuszczać chuderlawego ciała, owszem, poczęła wierzgać nogami tego ciała, jako mogła, i płakać, chociaż tak słabo i żałośnie, że jak mówiły kumy: „myślałby kto, kocię, albo co!"

Posłano po księdza; przyjechał, zrobił swoje, odjechał; chorej zrobiło się lepiej. W tydzień wyszła baba do roboty. Chłopak ledwo „zipał", ale zipał; aż w czwartym roku okukała kukułka na wiosnę chorobę, więc się poprawił i w jakim takim zdrowiu doszedł do dziesiątego roku życia.

Chudy był zawsze i opalony, z brzuchem wydętym, a zapadłymi policzkami; czuprynę miał konopną, białą prawie i spadającą na jasne, wytrzeszczone oczy, patrzące na świat, jakby w jakąś niezmierną dalekość wpatrzone. W zimie siadywał za piecem i popłakiwał cicho z zimna, a czasem z głodu, gdy matula nie mieli co włożyć ani do pieca, ani do garnka; latem chodził w koszulinie przepasanej krajką i w słomianym „kapalusie", spod którego obdartej kani [2] spoglądał zadzierając jak ptak głowę do góry. Matka biedna komornica, żyjąca z dnia na dzień niby jaskółka pod cudzą strzechą, może go tam i kochała po swojemu, ale biła dość często i zwykle nazywała „odmieńcem". W ósmym roku chodził już jako potrzódka za bydłem lub, gdy w chałupie nie było co jeść, za bedłkami do boru. Że go tam kiedy wilk nie zjadł, zmiłowanie boże.

Był to chłopak nierozgarnięty bardzo i jak wiejskie dzieciaki, przy rozmowie z ludźmi palec do gęby wkładający. Nie obiecywali sobie nawet ludzie, że się wychowa, a jeszcze mniej, żeby matka mogła doczekać się z niego pociechy, bo i do roboty był ladaco. Nie wiadomo skąd się to takie ulęgło, ale na jedną rzecz był tylko łapczywy, to jest na granie. Wszędzie też je słyszał, a jak tylko trochę podrósł, tak już o niczym innym nie myślał. Pójdzie, bywało do boru za bydłem albo z dwojakami na jagody, to się wróci bez jagód i mówi szepleniąc:

— Matulu! tak ci coś w boru „grlało". Oj! Oj!

A matka na to:

---

[1] *Strzyga — według dawnych zabobonów strzygą nazywano rodzaj upiora.*

[2] *Kania — gwarowe określenie ronda kapelusza.*

— Zagram ci ja, zagram! nie bój się!

Jakoż czasem sprawiała mu warząchwią muzykę. Chłopak krzyczał, obiecywał, że już nie będzie, a taki myślał, że tam coś w boru grało... Co? Albo on wiedział?... Sosny, buki, brzezina, wilgi, wszystko grało: cały bór, i basta!

Echo też... W polu grała mu bylica, w sadku pod chałupą ćwierkotały wróble, aż się wiśnie trzęsły! Wieczorami słuchiwał wszystkich głosów, jakie są na wsi, i pewno myślał sobie, że cała wieś gra. Jak posłali go do roboty, żeby gnój rozrzucał, to mu nawet wiatr grał w widłach.

Zobaczył go tak raz karbowy stojącego z rozrzuconą czupryną i słuchającego wiatru w drewnianych widłach... zobaczył i odpasawszy rzemyka, dał mu dobrą pamiątkę. Ale na co się to zdało? Nazywali go ludzie „Janko Muzykant"!... Wiosną uciekał z domu kręcić fujarki wedle strugi. Nocami, gdy żaby zaczynały rzechotać, derkacze na łąkach derkotać, bąki po rosie burczyć; gdy koguty piały po zapłociach, to on spać nie mógł, tylko słuchał i Bóg go jeden wie, jakie on i w tym nawet słyszał granie...

Stójka, co chodził nocą po wsi i aby nie zasnąć liczył gwiazdy na niebie lub rozmawiał po cichu z psami, widział nieraz białą koszulę Janka, przemykającą się w ciemności ku karczmie. Ale przecież chłopak nie do karczmy chodził, tylko pod karczmę. Tam przyczaiwszy się pod murem, słuchał. Ludzie tańcowali obertasa, czasem jaki parobek pokrzykiwał: „Uha!" Słychać było tupanie butów, to znów głosy dziewczyn: „Czegóż?" Skrzypki śpiewały cicho: „Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili", a basetla grubym głosem wtórowała z powagą: „Jak Bóg dał! jak Bóg dał!" Okna jarzyły się światłem, a każda belka w karczmie zdawała się drgać, śpiewać i grać także, a Janko słuchał!...

Co by on za to dał, gdyby mógł mieć takie skrzypki grające cienko: „Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili". Takie deszczułki śpiewające. Ba! ale skąd ich dostać? gdzie takie robią? Żeby mu przynajmniej pozwolili choć raz w rękę wziąć coś takiego!... Gdzie tam! Wolno mu tylko było słuchać, toteż i słuchał zwykle dopóty, dopóki głos stójki nie ozwał się za nim z ciemności:

— Nie pójdzieszże ty do domu, utrapieńcze?

Więc wówczas zmykał na swoich bosych nogach do domu, a za nim biegł w ciemnościach głos skrzypiec: „Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili" i poważny głos basetli: „Jak Bóg dał! Jak Bóg dał!"

Gdy tylko mógł słyszeć skrzypki, czy to na dożynkach, czy na weselu jakim, to już dla niego było wielkie święto. Właził potem za piec i nic nie mówił po całych dniach, spoglądając jak kot błyszczącymi oczyma z ciemności. Potem zrobił sobie sam skrzypki z gonta i włosienia końskiego, ale nie chciały grać tak pięknie jak tamte w karczmie: brzęczały cicho, bardzo cichutko, właśnie jak muszki jakie albo komary. Grał jednak na nich od rana

do wieczora, choć tyle za to odbierał szturchańców, że w końcu wyglądał jak obite jabłko niedojrzałe. Ale taka to już była jego natura. Dzieciaczyna chudł coraz bardziej, brzuch tylko zawsze miał duży, czuprynę coraz gęstszą i oczy coraz szerzej otwarte, choć najczęściej łzami zalane, ale policzki i piersi wpadały mu coraz głębiej i głębiej...

Wcale nie był jak inne dzieci, był raczej jak jego skrzypki z gonta, które zaledwie brzęczały. Na przednówku przy tym przymierał głodem, bo żył najczęściej surową marchwią i także chęcią posiadania skrzypek.

Ale ta chęć nie wyszła mu na dobre.

We dworze miał skrzypce lokaj i grywał czasem na nich szarą godziną, aby się podobać pannie służącej. Janko czasem podczołgiwał się między łopuchami aż pod otwarte drzwi kredensu [3], żeby im się przypatrzeć. Wisiały właśnie na ścianie naprzeciw drzwi. Więc tam chłopak duszę swoją całą wysyłał ku nim przez oczy, bo mu się zdawało, że to niedostępna jakaś dla niego świętość, której nie godzien tknąć, że to jakieś jego najdroższe ukochanie. A jednak pożądał ich. Chciałby przynajmniej raz mieć je w ręku, przynajmniej przypatrzeć się im bliżej... Biedne, małe chłopskie serce drżało na tę myśl ze szczęścia.

Pewnej nocy nikogo nie było w kredensie. Państwo od dawna siedzieli za granicą, dom stał pustkami, więc lokaj przesiadywał na drugiej stronie u panny pokojowej. Janko, przyczajony w łopuchach, patrzył już od dawna przez otwarte szeroko drzwi na cel wszystkich swych pożądań. Księżyc właśnie na niebie był pełny i wchodził ukośnie przez okno do kredensu, odbijając je w kształcie wielkiego jasnego kwadratu na przeciwległej ścianie. Ale ten kwadrat zbliżał się powoli do skrzypiec i w końcu oświetlił je zupełnie. Wówczas w ciemnej głębi wydawało się, jakby od nich biła światłość srebrna; szczególniej wypukłe zgięcia oświecone były tak mocno, że Janek ledwie mógł patrzeć na nie. W onym blasku widać było wszystko doskonale: wcięte boki, struny i zagiętą rączkę. Kołeczki przy niej świeciły jak robaczki świętojańskie, a wzdłuż zwieszał się smyczek na kształt srebrnego pręta...

Ach! wszystko było śliczne i prawie czarodziejskie; Janek też patrzył coraz chciwiej. Przykucnięty w łopuchach, z łokciami opartymi o chude kolana, z otwartymi ustami patrzył i patrzył. To strach zatrzymywał go na miejscu, to jakaś nieprzezwyciężona chęć pchała go naprzód. Czy czary jakie, czy co?... Ale te skrzypce w jasności czasem zdawały się przybliżać, jakoby płynąć ku dziecku... Chwilami przygasały, aby znowu rozpromienić się jeszcze bardziej. Czary, wyraźne czary! Tymczasem wiatr powiał; zaszumiały cicho drzewa, załopotały łopuchy, a Janek jakoby wyraźnie usłyszał:

— Idź, Janku! w kredensie nie ma nikogo... idź, Janku!...

Noc była widna, jasna. W ogrodzie dworskim nad stawem słowik zaczął śpiewać i pogwizdywać cicho, to głośniej: „Idź! pójdź! weź!" Lelek [4] poczciwy cichym lotem zakręcił się koło głowy dziecka i zawołał: „Janku, nie! nie!" Ale lelek odleciał, a słowik został i łopuchy coraz wyraźniej mruczały: „Tam nie ma nikogo!" Skrzypce rozpromieniły się znowu...

Biedny mały, skulony kształt z wolna i ostrożnie posunął się naprzód, a tymczasem słowik cichuteńko pogwizdywał: „Idź! pójdź! weź!"

Biała koszula migotała coraz bliżej drzwi kredensowych. Już nie okrywają jej czarne łopuchy. Na progu kredensowym słychać szybki oddech cho-

---

[3] *Kredens — w dawnych dworach izba, w której stała szafa z przyborami kuchennymi albo mieszkała służba dworska.*

[4] *Lelek — mały ptak nocny.*

rych piersi dziecka. Chwila jeszcze, biała koszulka znikła, już tylko jedna bosa nóżka wystaje za progiem. Na próżno, lelku, przelatujesz jeszcze raz i wołasz: „Nie! nie!" Janek już w kredensie.

Zarzechotały zaraz ogromnie żaby w stawie ogrodowym, jak gdyby przestraszone, ale potem ucichły. Słowik przestał pogwizdywać, łopuchy szemrać. Tymczasem Janek czołgał się cicho i ostrożnie, ale zaraz go strach ogarnął. W łopuchach czuł się jakby u siebie, jak dzikie zwierzątko w zaroślach, a teraz był jak dzikie zwierzątko w pułapce. Ruchy jego stały się nagłe, oddech krótki i świszczący, przy tym ogarnęła go ciemność. Cicha letnia błyskawica, przeleciawszy między wschodem i zachodem, oświeciła raz jeszcze wnętrze kredensu i Janka na czworakach przed skrzypcami z głową zadartą do góry. Ale błyskawica zgasła, księżyc przesłoniła chmurka i nic już nie było widać ani słychać.

Po chwili dopiero z ciemności wyszedł dźwięk cichutki i płaczliwy, jakby ktoś nieostrożnie strun dotknął — i nagle...

Gruby jakiś, zaspany głos, wychodzący z kąta kredensu, spytał gniewliwie:

— Kto tam?

Janek zataił dech w piersiach, ale gruby głos spytał powtórnie:

— Kto tam?

Zapałka zaczęła migotać po ścianie, zrobiło się widno, a potem... Eh! Boże! słychać klątwy, uderzenia, płacz dziecka, wołanie: „O! dla Boga!", szczekanie psów, bieganie świateł po szybach, hałas w całym dworze...

Na drugi dzień biedny Janek stał już przed sądem u wójta.

Mieliż go tam sądzić jako złodzieja?... Pewno. Popatrzyli na niego wójt i ławnicy, jak stał przed nimi z palcem w gębie, z wytrzeszczonymi zalękłymi oczyma, mały, chudy, zamorusany, obity, nie wiedzący, gdzie jest i czego od niego chcą? Jakże tu sądzić taką biedę, co ma lat dziesięć i ledwo na nogach stoi? Do więzienia ją posłać czy jak?... Trzebaż przy tym mieć trochę miłosierdzia nad dziećmi. Niech go tam weźmie stójka, niech mu da rózgą, żeby na drugi raz nie kradł, i cała rzecz.

Bo pewno!

Zawołali Stacha, co był stójką:

— Weź go ta i daj mu na pamiątkę.

Stach kiwnął swoją głupowatą, zwierzęcą głową, wziął Janka pod pachę, jakby jakiego kociaka, i wyniósł ku stodółce. Dziecko czy nie rozumiało, o co chodzi, czy się zalękło, dość że nie ozwało się ni słowem, patrzyło tylko, jakby patrzył ptak. Albo on wie, co z nim zrobią? Dopiero jak go Stach w stodole wziął garścią, rozciągnął na ziemi i podgiąwszy koszulinę, machnął od ucha, dopieroż Janek krzyknął:

— Matulu! — i co go stójka rózgą, to on — Matulu! matulu!! — ale coraz ciszej, słabiej, aż za którymś razem ucichło dziecko i nie wołało już matuli...

Biedne, potrzaskane skrzypki!...

Ej, głupi, zły Stachu! któż tak dzieci bije? Toż to małe i słabe i zawsze było ledwie żywe.

Przyszła matka, zabrała chłopaka, ale musiała go zanieść do domu... Na drugi dzień nie wstał Janek, a trzeciego wieczorem konał już sobie spokojnie na tapczanie pod zgrzebnym kilimkiem.

Jaskółki świegotały w czereśni, co rosła pod przyzbą[5], promień słońca wchodził przez szybę i oblewał jasnością złotą, rozczochraną główkę dziecka i twarz, w której nie zostało kropli krwi. Ów promień był niby gościńcem, po którym mała dusza chłopczyka miała odejść. Dobrze, że choć w chwilę śmierci odchodziła szeroką, słoneczną drogą, bo za życia szła po prawdzie ciernistą. Tymczasem wychudłe piersi

[5] *Pod przyzbą — koło przyzby, to jest koło ławy pod ścianą domu.*

poruszały się jeszcze oddechem, a twarz dziecka była jakby zasłuchana w te odgłosy wiejskie, które wchodziły przez otwarte okno. Był to wieczór, więc dziewczęta, wracające od siana, śpiewały: „Oj, na zielonej, na runi!", a od strugi dochodziło granie fujarek. Janek wsłuchiwał się ostatni raz, jak wieś gra... Na kilimku przy nim leżały jego skrzypki z gonta.

Nagle twarz umierającego dziecka rozjaśniła się, a z bielejących warg wyszedł szept:

— Matulu?...

— Co, synku? — ozwała się matka, którą dusiły łzy...

— Matulu, Pan Bóg mi da w niebie prawdziwe skrzypki?

— Da ci, synku, da! — odrzekła matka; ale nie mogła dłużej mówić, bo nagle z jej twardej piersi buchnęła wzbierająca żałość, więc jęknąwszy tylko: „O, Jezu! Jezu!", padła twarzą na skrzynię i zaczęła ryczeć, jakby straciła rozum, albo jak człowiek, co widzi, że od śmierci nie wydrze swego kochania...

Jakoż nie wydarła go, bo gdy podniósłszy się, znowu spojrzała na dziecko, oczy małego grajka były otwarte wprawdzie, ale nieruchome, twarz zaś poważna bardzo, mroczna i stężała. Promień słoneczny odszedł także.

Pokój ci, Janku!

* * *

Nazajutrz powrócili państwo do dworu z Włoch, wraz z panną i kawalerem, co się o nią starał. Kawaler mówił:

— Quel beau pays que l'Italie.[6]

— I co to za lud artystów. On est heureux de chercher la-bas des talents et de les proteger [7]... — dodała panna.

Nad Jankiem szumiały brzozy...

Henryk Sienkiewicz

Rys. Zbigniew Rychlicki

---

[6] *Quel beau pays que l'Italie (fr.) — jakim pięknym krajem są Włochy.*

[7] *On est heureux de chercher la-bas des talents et de les proteger (fr.) — szczęściem jest wyszukiwać tam talenty i popierać je.*

WIERSZE STEFANA TODORSKIEGO POETY Z SIEDLEC

Kto z was mi na to
pytanie odpowie:
skąd się na niebie
znalazło gwiazd mrowie?
Myślę, że kiedyś
wysoko w przestworzach
płonął zimny ogień —
tak wielki jak pożar.
I iskry rozdawał
czterem świata stronom...
Stąd właśnie są gwiazdy.
Mrok zapadł. Spójrz! Płoną!

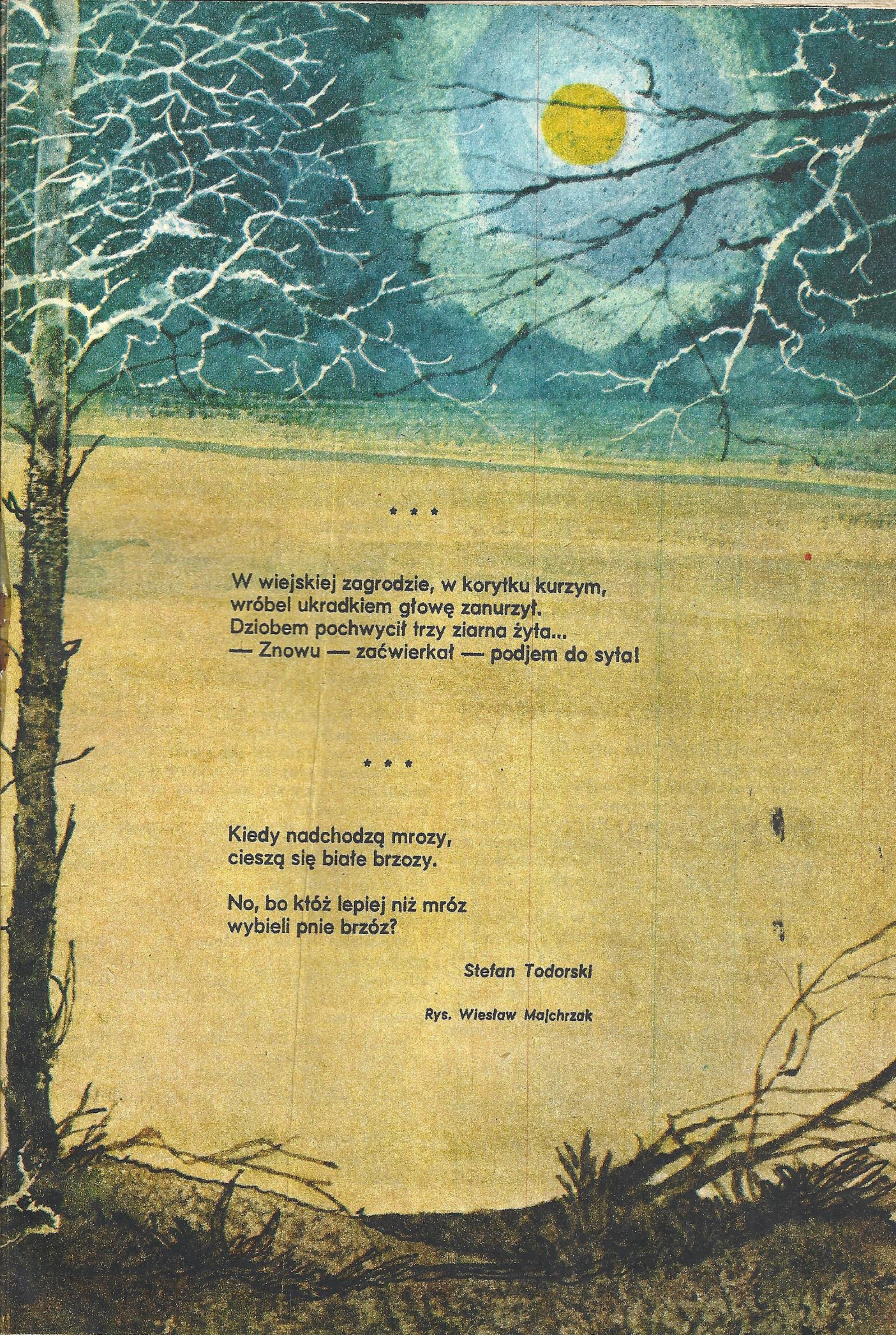

* * *

W wiejskiej zagrodzie, w korytku kurzym,
wróbel ukradkiem głowę zanurzył.
Dziobem pochwycił trzy ziarna żyta...
— Znowu — zaćwierkał — podjem do syta!

* * *

Kiedy nadchodzą mrozy,
cieszą się białe brzozy.

No, bo któż lepiej niż mróz
wybieli pnie brzóz?

Stefan Todorski

Rys. Wiesław Majchrzak

Tańczący słoń

Kiedy wyszli na korytarz, Zulejka zrobiła bardzo ważną minę, wyciągnęła spod peleryny zwój arkuszy i wcisnęła go do ręki Bartkowi.

— Czytaj.

— A co to? Może nowe tajne dokumenty?

— Nie pytaj, tylko czytaj.

— Tu strasznie ciemno.

— To chodźmy do pokoju telewizyjnego.

Bartek wciąż jeszcze zaspany zaczął czytać półgłosem:

„Inspektor Zuzanna Siwoszówna. Raport o stanie śledztwa w sprawie siatki szpiegowskiej obcego wywiadu oraz w sprawie tajemniczej figurki przedstawiającej tańczącego słonia... — Urwał i spojrzał pytająco na szefa.

— Czy to jest odrębna sprawa, czy może łączy się z tą pierwszą? A poza tym już raz zrezygnowaliśmy z pisania takiego raportu.

— Czytaj dalej! Nie analizuj! — rzuciła rozkazująco.

Sierżant odetchnął głęboko.

— „Osoby podejrzane — ciągnął. — Pierwsza — Fajczarz. Ma powiązania ze światem przestępczym. Zakopał figurkę na wyspie, a potem się bezczelnie wypierał. Spotyka się z drugim podejrzanym osobnikiem i razem jedzą zwitki..."

Sierżant chlasnął dłonią w plik arkuszy.

— Coś ty, Zulejko, napisała?

— Nie szkodzi. Spieszyłam się. Zwitki popraw na obiad, i czytaj dalej.

— W porządku... Więc: „...i razem jedzą obiady... Jest ogromnie tajemniczy i źle mu z oczu patrzy i ciągle w zębach trzyma zwitki..."

— Coś ty? Widzę, że te zwitki dobrze ci utkwiły w pamięci.

— Popraw na fajkę i nie przejmuj się takimi drobiazgami.

— A więc — podjął Bartek: „...i ciągle w zębach trzyma fajkę, bo ma nieczyste sumienie i stale coś knuje. Rano bez względu na pogodę biega, żeby zmylić czujność. Potrafi zlepiać... ale wciąż się wymiguje i mówi, że nie widział tytoniu..."

— Jakiego tytoniu? — zawołał Bartek.

— No, kapujesz, w taką pogodę można się pomylić. Zamiast tytoniu mają być zwitki.

— Nie, pani inspektor, z takim raportem daleko nie zajedziemy. — Zwinął arkusze i chciał je podać Zulejce.

— Może ty — zaperzyła się — napisałbyś lepszy?

— No pewnie. Ja proponowałem przedstawić to graficznie.

— I z tej twojej grafiki wyszedł rower na trójkątnych kołach.

— Ale było wiadomo, kto z kim.

— Co kto z kim?

— No... kto z kim ma przestępcze kontakty.

— To wiemy bez grafiki. Może jednak będziesz łaskaw doczytać do końca, żeby wreszcie zorientować się, na czym polega...

— Nie gniewaj się — przerwał jej — ale żaden szanujący się inspektor nie napisałby takich bzdur.

— Jak ci się nie podoba, to mogę sobie znaleźć innego sierżanta.

— Proszę cię bardzo. Nie wiem, kto będzie więcej żałował.

— Na pewno nie ja.

— To się jeszcze okaże.

Wymiana zdań następowała w coraz szybszym tempie i w coraz większym nasileniu. I byliby się na pewno rozeszli pokłóceni, gdyby do sali telewizyjnej nie wszedł Muminek.

— Co wy tak krzyczycie i krzyczycie? — zapytał, trąc zaczerwieniony nos. — Słychać was w całym pensjonacie.

— Zmywaj się, bo cię przetrącę. — Bartek zamierzył się, lecz Muminek uskoczył i zagrał mu palcami na nosie.

— Detektywi! Detektywi! — zapiszczał cieniutko.

Zulejka podeszła do niego i złapawszy go za bluzę od piżamy, przyciągnęła do siebie.

— Skąd wiesz, szczeniaku? Powiedz jeszcze jedno słowo, to ci uszy oberwę.

— A może nie? — Wykrzywił się zabawnie. — A kto śledzi moją babcię? A kto wisiał wczoraj na dachu? Może ja?

Zulejka potrząsnęła nim.

— Ty, Muminku, jeżeli powiesz komuś o tym jedno słowo, to pożałujesz.

Malec zamrugał bezrzęsymi powiekami.

— Już powiedziałem.

— Komu?

— To tajemnica.

Bartek natarł na niego z drugiej strony.

— Mów, komu?

— Dwoje na jednego — zapiszczał. — A ja i tak się was nie boję.

Zulejka puściła go.

— No widzisz — powiedziała do Bartka. — Cała robota na nic.

Muminek zachichotał bazyliszkowato.

— A ja jeszcze coś wiem, coś bardzo ważnego.

— Nie wierzę ci. — Westchnęła z rezygnacją.

— Powiem, jak się zabawimy w Indian.

W skołatanej głowie dziewczyny zrodził się pomysł.

— Kle Kuguara — zwróciła się poważnie do malca — dzisiaj zakopujemy wojenne toporki, bo nad ziemią przeszła nawałnica.

— A dlaczego? — zawołał.

— Bo czarownik naszego szczepu nie usłuchał Wielkiego Ducha.

— A dlaczego?

Bartek żachnął się gniewnie:

— Jak jeszcze raz zapytasz — dlaczego, to zedrę z ciebie skalp.

Zulejka stanęła między nimi. Odepchnęła Bartka.

— Daj mu spokój, on chce powiedzieć swemu wodzowi coś bardzo ważnego.

— A co dostanę?

— Mianuję cię Wielkim Czarownikiem całego plemienia.

Malec zatańczył dokoła dziewczyny, a skacząc wyśpiewywał:

— Będę Wielkim Czarownikiem całego plemienia Arapachów. Będę...

— Więc mów, co masz do powiedzenia — zawołała zniecierpliwiona Zulejka.

— Ale jeszcze nie jestem.

Położyła mu ręce na ramionach.

— Dzielny Kle Kuguara, mianuję cię Wielkim Czarownikiem szczepu Arapachów.

Muminek znowu okrążył ją tanecznym krokiem, a gdy zatrzymał się, rzekł:

— Teraz mogę ci powiedzieć. Wczoraj babcia bujnęła cię, bo ten brylant jest autentycznie prawdziwy.

Bartek chrząknął znacząco i skinął wymownie w stronę Muminka, chcąc w ten sposób ostrzec szefa, by nie zdradził się przy malcu. Potem powiedział z uśmiechem:

— Ta cała sprawa jest dość powikłana. Trzeba będzie się zastanowić, co robić dalej.

— Idziemy. — Zulejka skinęła na Bartka.

Ten bez słowa ruszył do drzwi.

— Bartek! — zawołał za nim Muminek. — Zapomniałem ci powiedzieć. Był u ciebie jeden taki z rudą bródką. Taki wesoły.

— To pewno ten płetwonurek — wyjaśnił sierżant szefowi, potem natarł na malca: — To dopiero teraz mi to mówisz?

— A kiedy miałem ci powiedzieć, jak wyście się kłócili i kłócili.

Bartek masował nerwowo policzek.

— To dziwne, skąd on mógł wiedzieć, gdzie mieszkam. Słuchaj — zwrócił się do Zulejki — musimy go odszukać. Może go jeszcze dogonimy. Walimy. — I sierżant nie czekając na swego inspektora, wybiegł na korytarz.

Kiedy znalazł się na ogrodowej ścieżce, ku swojej radości ujrzał nieznajomego młodzieńca, jak przechadzał się wzdłuż klombów. Był w gumiakach, welwetowych dżinsach, w myśliwskiej kurtce i w fantazyjnym, sportowym kapelusiku. Na widok chłopca uniósł dłoń do kapelusza.

— Hej — przywitał go, uśmiechając się przyjaźnie. — Byłem u ciebie. Masz bardzo miłego ojca. Uciąłem sobie z nim krótką pogawędkę. — Zbliżył się, podając chłopcu rękę.

„Czaruś" — pomyślał Bartek ściskając jego twardą i ciepłą dłoń, a po chwili dodał głośno:

— Bardzo mi miło.

— Nie wiedziałem, że twój ojciec to ufolog.

— No, tak... wydał już trzy książki na ten temat. Należy do międzynarodowej federacji ufologów i dostaje masę listów z zagranicy — wyjaśnił z dumą.

Młody człowiek zmrużył filuternie oko.

— On pisze o latających talerzach, a ty, bracie, nie mogłeś wydobyć się z szybu. — A gdy spostrzegł, że chłopiec przyjął ten żart z zakłopotaniem, machnął ręką. — Nie mówmy już o tym. Zdarza się. Jak ci na imię?

— Bartek.

— A mnie Łukasz. Możesz mi mówić po imieniu.

Chłopiec, uniósłszy głowę, mruknął nieco zaskoczony:

— Przecież pan jest dużo starszy ode mnie.

— To głupstwo. Mógłbyś mieć brata albo kuzyna w tym samym wieku. Więc mów mi Łukasz.

— To trochę głupio... Tak od razu... I dziwne...

— Nic dziwnego. Przyszedłem po ciebie, żeby ci pokazać drugie wejście do tych bunkrów.

Chłopcu rozjaśniły się oczy.

— To... To strasznie fajnie.

— Fajnie, niefajnie. W każdym razie spodobałeś mi się. Wczoraj podziwiałem twoją spostrzegawczość. Słusznie mówiłeś, że nie mogłem wejść do bunkrów przez garaż. A teraz, chłopie, ubierz się ciepło, bo tam można zmarznąć.

Bartek odwrócił się. Przy furtce zobaczył czekającą na niego Zulejkę. Rzucił więc przez ramię:

— Czy możemy zabrać koleżankę?

— A kto to? — zapytał Łukasz, lekko zaskoczony.

— To najfajniejsza dziewczyna, jaką znam.

Zulejka, nie czekając na zaproszenie, podeszła bliżej.

— Bartek opowiadał mi o panu. To pan go wyciągnął z tego szybu?

— Jestem pewny, że gdybym się nie zjawił, to sam dałby sobie radę — powiedział, chcąc usprawiedliwić chłopca. — Niestety, nie mogę cię zabrać, bo mam ponton na dwie osoby, a tam często trzeba przeprawiać się przez wodę.

— Pięknie panu dziękuję. I tak nie poszłabym z wami, bo mam coś ważniejszego do zrobienia — powiedziała nieco urażona i ruszyła za chłopcem do drzwi wejściowych. Na schodach szarpnęła Bartka za rękaw. — Wygląda mi na fantastycznego faceta.

— I ja tak myślę. Tylko... — zająknął się.

— Co tylko?

— No, bo ja myślałem, że on też może jest podejrzany.

— Wykluczone. To po co by przyszedł po ciebie?

— Może masz rację, ale zawsze trzeba być ostrożnym.

— To się wie... Zazdroszczę ci, ale trudno. Wykorzystam ten czas... bo mam nowy pomysł.

— Jaki?

— My się głowimy, kombinujemy, a tymczasem trzeba zaryzykować. Pójdę do Fajczarza i powiem mu prosto w oczy, że jest agentem obcego wywiadu. Zobaczę, jak zareaguje.

Adam Bahdaj
(Ciąg dalszy nastąpi)

Rys. Jerzy Flisak

LUDOWA TKACZKA Z WĘGROWA

Na fotografii widzimy Dominikę Bujnowską, twórczynię ludową, przy swojej tkaninie — dwuosnowowym (czyli dwustronnym) dywanie wykonanym na zlecenie i dla uczczenia 30-lecia Podlaskiej Spółdzielni Pracy Rękodzieła Ludowego i Artystycznego w Węgrowie. Tylko dla tej cepeliowskiej Spółdzielni pani Dominika utkała ponad 500 tkanin. A wiele setek jeszcze dla odbiorców prywatnych.

Zdobywały one nagrody na konkursach w kraju i za granicą, m. in. I nagrodę na Międzynarodowym Biennale Sztuki Ludowej w Bazylei. Znajdują się w wielu muzeach polskich i zagranicznych. Tkaniny te ofiarowywano także wybitnym osobistościom, m. in. papieżowi Janowi Pawłowi II i królowi Belgów — Baudouinowi. Dlaczego tak się podobają?

Te tkaniny to starannie przemyślane i zakomponowane obrazy, najczęściej w kolorach naturalnych, ale czasem też z wełny farbowanej. O przeróżnej tematyce i tytułach, np. „Zioła lecznicze", „Las", „Wieś", „Gajówka" czy „Wielkanoc".

Dominika Bujnowska urodziła się w 1903 r. we wsi Klewianka, w biednej rodzinie chłopskiej. Tkania nauczyła się w domu, na warsztacie tkackim używanym przez matkę. Wykonywała lniane obrusy i ręczniki — dla domu i na sprzedaż.

Pani Dominika kocha wieś, przyrodę, życie rodzinne i ludowe. Stąd wiele jej prac związanych jest właśnie z tą tematyką. Tkaczka-artystka często powtarza raz wymyślony i opracowany temat tkaniny. Jednak różnią się te prace między sobą układem, kolorystyką lub też wielkością motywów. Ale wszystkie są jednakowo piękne.

Wśród wielu odznaczeń, jakie artystka otrzymała za swą wieloletnią twórczość, znajdują się: tytuł i odznaka Zasłużonego Działacza Kultury oraz Złoty Krzyż Zasługi.

M. Cz.

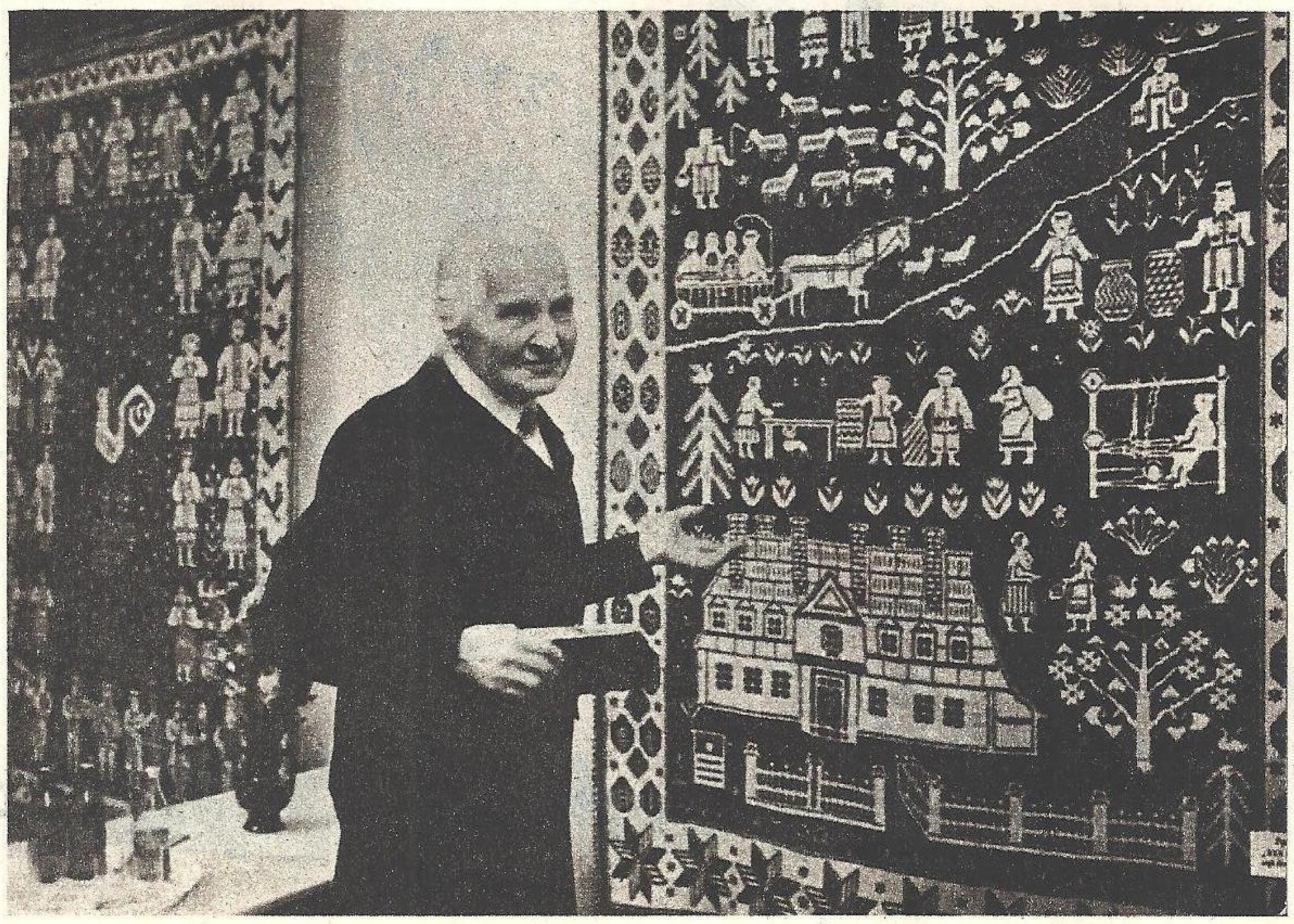

Fot. Krzysztof Wojciewski

Fot. Andrzej Holc

LUDWISARZ Z WĘGROWA

Jak myślicie, gdzie w Węgrowie mieszka jeden z nielicznych już w Polsce ludwisarzy — rzemieślnik wykonujący odlewy z brązu, spiżu, miedzi i mosiądzu? Oczywiście przy ulicy Ludwisarskiej.

Pan Antoni Kruszewski w 1982 r. obchodził pięćdziesięciolecie pracy. Warsztat swój przejął po ojcu, który objął go po swoim ojcu. Teraz pan Antoni jest już na emeryturze, a pracownię przejęło następne pokolenie. Praktykuje już także kolejne — wnuk Tomasz.

Antoni Kruszewski z wielką skromnością mówi o swej pracy, o setkach dzwonów, które odlewał. Z trudem udaje się go namówić, by pokazał nam, nad czym aktualnie pracuje się w jego warsztacie.

Pan Antoni mówi:

— Żeby zobaczyć, jak się robi dzwon, trzeba by tu zamieszkać na co najmniej dwa tygodnie. Poszczególne etapy pracy nad dzwonem nie są specjalnie ciekawe... Najlepiej sfotografować gotowy dzwon, ozdobiony, a takiego teraz u nas nie ma...

— Pracę nad dzwonem rozpoczyna się od przygotowania formy, wewnętrznej i zewnętrznej, z gliny mocowanej drutem. Każdy dzwon ma swój szablon. Gotowy model zakopuje się w ziemi w pobliżu pieca, z którego spływa roztopiony spiż. Po ostygnięciu stopu zdejmuje się formę i rozpoczyna prace wykończeniowe — nad ozdobami i napisami na dzwonie.

— Wiele moich dzwonów pozostało w kraju — dwa z nich wiszą na Zamku Królewskim w Warszawie, sporo przygotowałem na zamówienie klientów zagranicznych... Teraz już odpoczywam... — kończy rozmowę pan Antoni Kruszewski.

Maria Czernik

Fot. Stefan Rutkowski

Antoni Kruszewski przy pracy

Pan Antoni przygląda się pracy swojego wnuka Tomasza

Na spotkaniach z „Płomyczkiem" w Siedlcach i Węgrowie

Fot. Stefan Rutkowski

LUSTRO TWARDOWSKIEGO

W zakrystii Kościoła Farnego w Węgrowie od kilkuset lat wisi dziwne lustro; nie ze szkła, lecz z białego metalu, wysokie na 22 cale, szerokie na 19 cali, w drewnianych ramach z łacińskim napisem wokół.

W tym lustrze czarnoksiężnik Twardowski ukazał królowi Zygmuntowi Augustowi ducha jego zmarłej żony, Barbary Radziwiłłówny.

Skąd się to lustro wzięło w Węgrowie?

Niektórzy badacze twierdzą, że w czasie studiów w Wittemberdze młody magnat Franciszek Krasiński poznał i zaprzyjaźnił się z Twardowskim, a potem sprowadził go do Krakowa i pomógł uzyskać stanowisko koniuszego na dworze króla Zygmunta Augusta.

Twardowski umierając zapisał w testamencie swoje czarnoksięskie lustro Franciszkowi Krasińskiemu.

W II połowie XVII w. Krasińscy zostali właścicielami Węgrowa i przekazali to lustro jako wotum ufundowanemu przez siebie kościołowi, polecając jednocześnie wyryć na jego ramie napis, głoszący, że „Przy pomocy tego lustra Twardowski czynił magiczne sztuki, które sprzeciwiały się Bogu".

Studenci ze szkoły prowadzonej przez księży „ciskali w zwierciadło rozmaitymi ciężkimi rzeczami, gdyż ukazywały się w nim drażniące ich i przekrzywiające postacie, na ostatek jeden, cisnąwszy kluczami kościelnymi, roztrzaskał je w ten sposób, i już odtąd ukazywać masek dziwacznych przestało. Nie trzeba się temu dziwić, bo to jest zwierciadło czarownika Twardowskiego". Tak pisał o lustrze Twardowskiego w czasopiśmie „Kolumb — Pamiętnik Podróży" w 1828 r. T. Narbutt.

Ale chyba nie straciło ono wtedy swej czarodziejskiej mocy. Świadczy o tym wiele innych legend opowiadających o lustrze Twardowskiego.

Iza Perczyńska

Jak posługiwać się czarnoksięskim zwierciadłem? Należy w lustro chuchnąć, a następnie wpatrywać się w nie długo. Zawsze się człowiek jakiegoś znaku doczeka.

W LIWIE

Niedaleko Węgrowa leży Liw. Wieś na granicy Mazowsza i Podlasia, z ruinami późnogotyckiego zamku książąt mazowieckich z XV—XVI w. Tuż przy nich stoi zbudowany w 1782 r. barokowy budynek, dawna kancelaria starostwa, a w nim mieści się niewielkie Muzeum — Zbrojownia. Na ścianach wiszą portrety dawnych mieszkańców zamku, jest tu też lustro, w którym, jak mówi legenda, nie powinny przeglądać się panienki, jeśli kiedykolwiek chcą wyjść za mąż. W kilku salkach zgromadzono starą broń: szable, szpady, lance, pistolety. A także różne elementy zbroi rycerskiej, niektóre nawet podziurawione. Na resztkach murów obronnych ustawiono stare działa, a spod murów rozciąga się piękny widok na płynący w pobliżu Liwiec.

Jest też w Liwie kościół, którego proboszcz w latach 30-tych był wielkim miłośnikiem przyrody. Pod każdym z drzew, rosnących wokół kościoła, umieścił tabliczkę z hasłem nawołującym do ochrony przyrody. Przeczytajcie sobie kilka z nich:

Przyjacielem bądź przyrody,
Obsadź drzewem swe zagrody.

•

Od pioruna wolnyś, bracie,
Gdy masz drzewo przy swej chacie.

•

Druheneczko nasza miła,
Czyś już drzewko posadziła?

Maria Czernik

Fot. Stefan Rutkowski

Na zdjęciu poniżej: Muzeum — Zbrojownia obok ruin zamku książęcego w Liwie

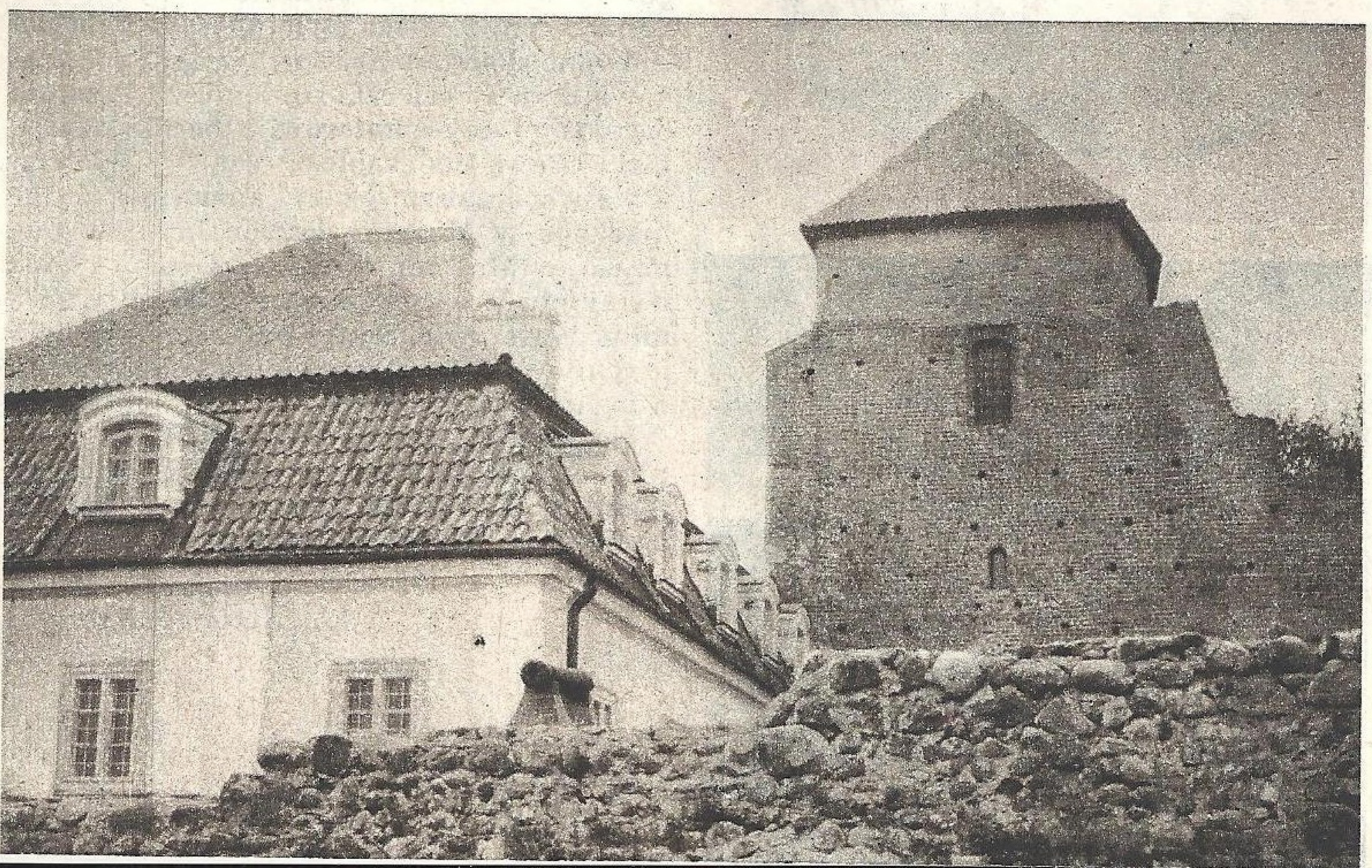

AMONITY – muszle sprzed milionów lat pod Łukowem

Amonity — to grupa morskich zwierząt, wymarłych z końcem okresu kredowego, czyli 70 milionów lat temu. Nazwa ich pochodzi od starożytnego boga Egipcjan — Amona, którego przedstawiano jako postać z rogami barana, o kształcie podobnym do muszli amonitów.

Amonity są krewniakami łodzików, mięczaków, należących do gromady głowonogów, które do dziś żyją w ciepłych wodach Oceanu Indyjskiego i Spokojnego.

Amonity bywają różnej wielkości. Ich muszle miały średnicę od kilku do kilkunastu centymetrów, ale trafiały się 2—3-metrowe olbrzymy.

Skamieniałych muszli nie brak również

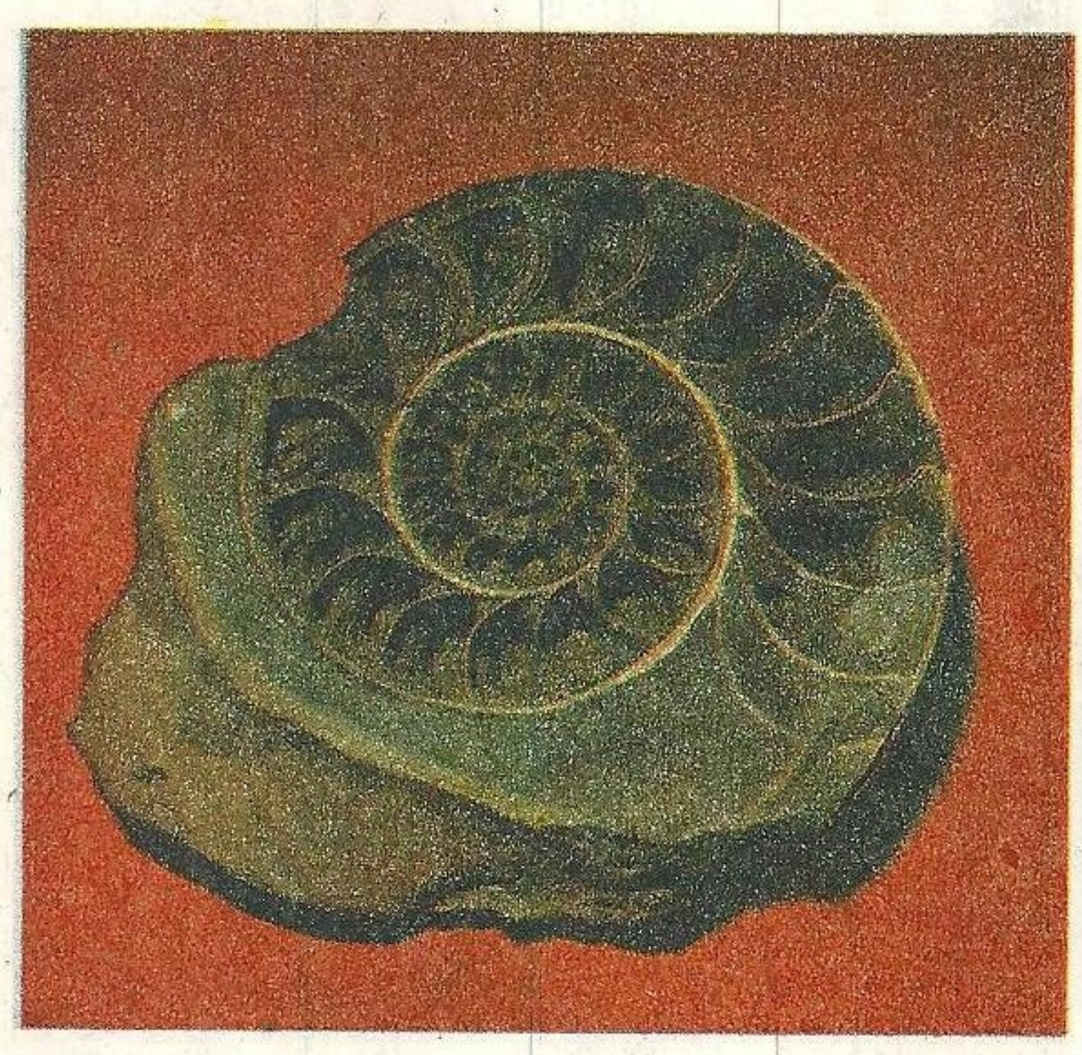

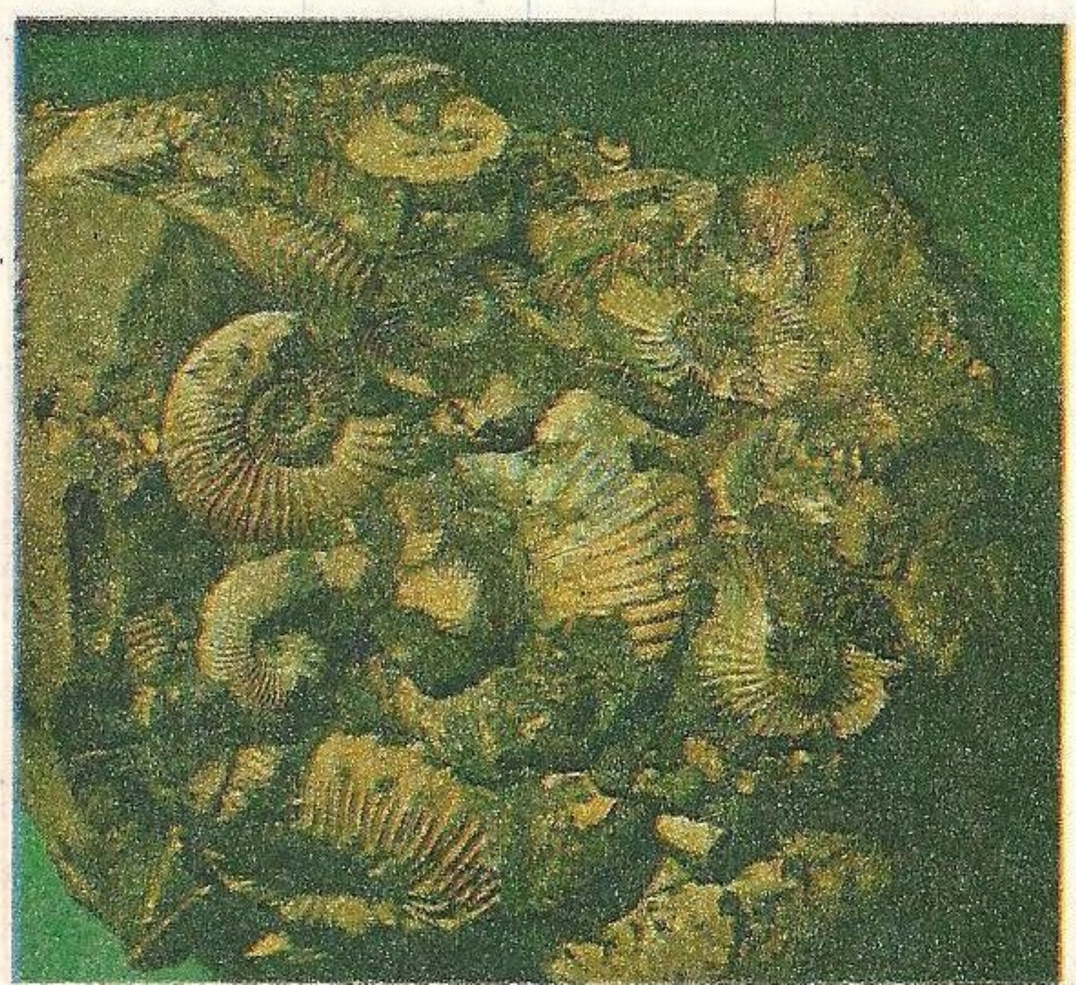

w Polsce. Spotyka się je w Górach Świętokrzyskich, na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej oraz w okolicach Łukowa w woj. siedleckim. Jest to jedyne miejsce w Polsce i jedno z nielicznych na świecie, gdzie głęboko w ziemi znajdują się kuliste lub gruszkowate bryły, zwane konkrecjami, wypełnione najczęściej skamieniałymi amonitami. Dlatego Łuków do niedawna był miastem często odwiedzanym przez geologów, a jego nazwa jest znana wielu naukowcom z całego świata. Wspaniale zachowane skamieniałości przyciągały do Łukowa liczne wycieczki studentów i uczniów oraz zbieraczy-amatorów. Obecnie wyrobiska nie są już eksploatowane.

Najwspanialsze okazy amonitów zgromadzono w Muzeum Regionalnym w Łukowie, w Muzeum Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego i w Muzeum Ziemi w Warszawie. Są też prywatne kolekcje amonitów, które na światowych rynkach osiągają wysokie ceny.

Największą skamieniałą muszlę, o średnicy 92 cm, wydobytą w wyrobisku cegielni w Łapiguzie koło Łukowa, można obejrzeć w Muzeum Ziemi w Warszawie.

Alicja Olszewska
Fot. Stefan Rutkowski

Oto

nasze Siedlce -

rysunki dzieci ze

Szkoły Podstawowej nr 3

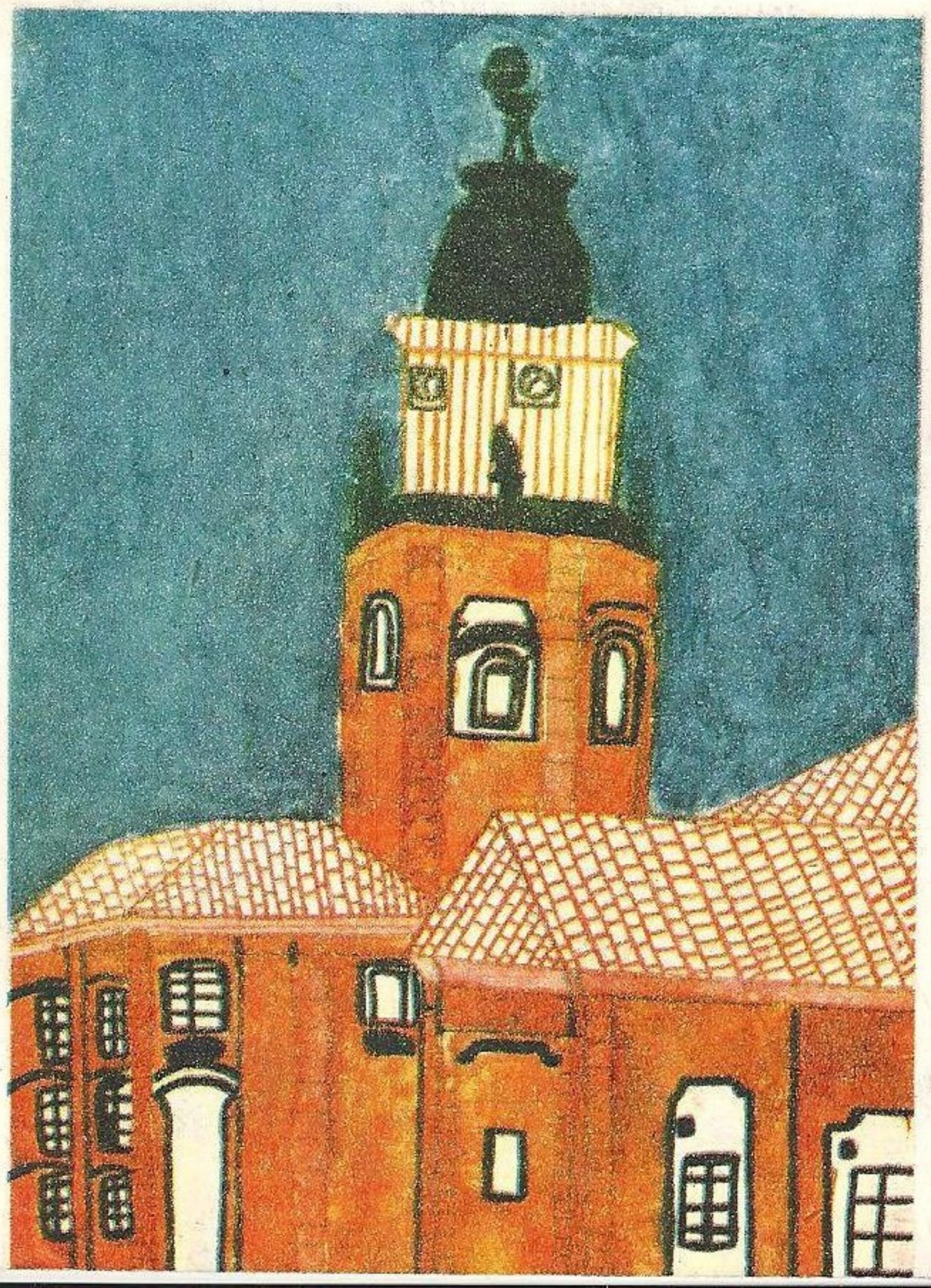

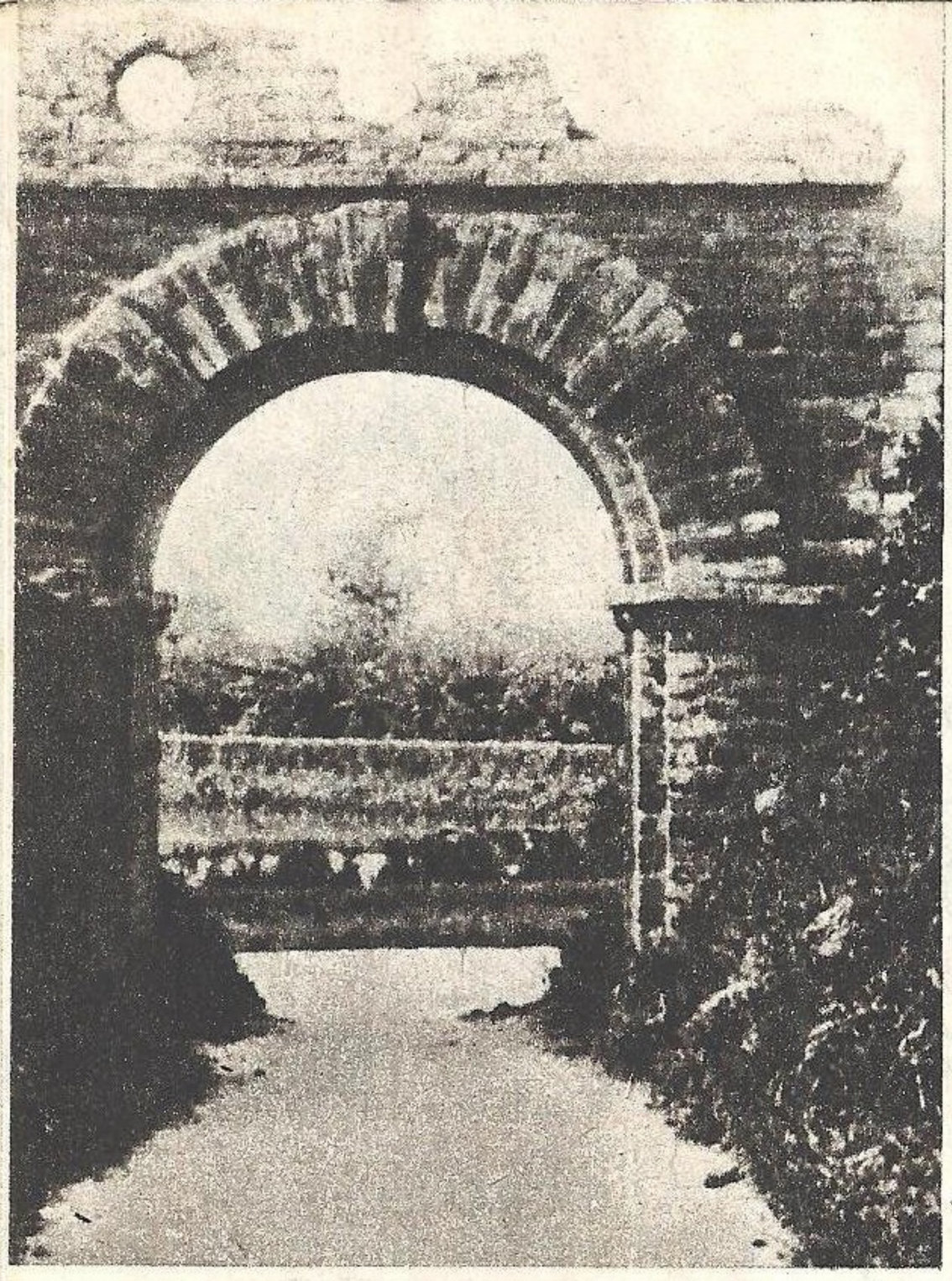

1

DAWNYCH SIEDLEC CZAR...

3

1. *Fragment budowli w parku zwanym „Aleksandrią"*
2. *Dawna dzwonnica pełniąca funkcję bramy miejskiej*
3. *Kaplica Ogińskich zbudowana w 1791 r.*

2

Fot. Tadeusz Czapski

ZGADUJ • ZGADULA • ZGADUJ

Wpisywanka

Do pustych kratek wpiszcie poziomo 7 wyrazów o podanym znaczeniu. Odgadnijcie sami, w których rzędach należy je umieścić.

Znaczenie wyrazów:

1. Nieporządek, nieład.
2. Artystka teatralna, filmowa, telewizyjna.
3. Metalowa zapinka, np. do spinania części ubrania.
4. Wóz pogrzebowy.
5. Noszą je mężczyźni przy kołnierzykach koszul.
6. Mebel do przechowywania odzieży.
7. Marka samochodów osobowych produkowanych w NRD.

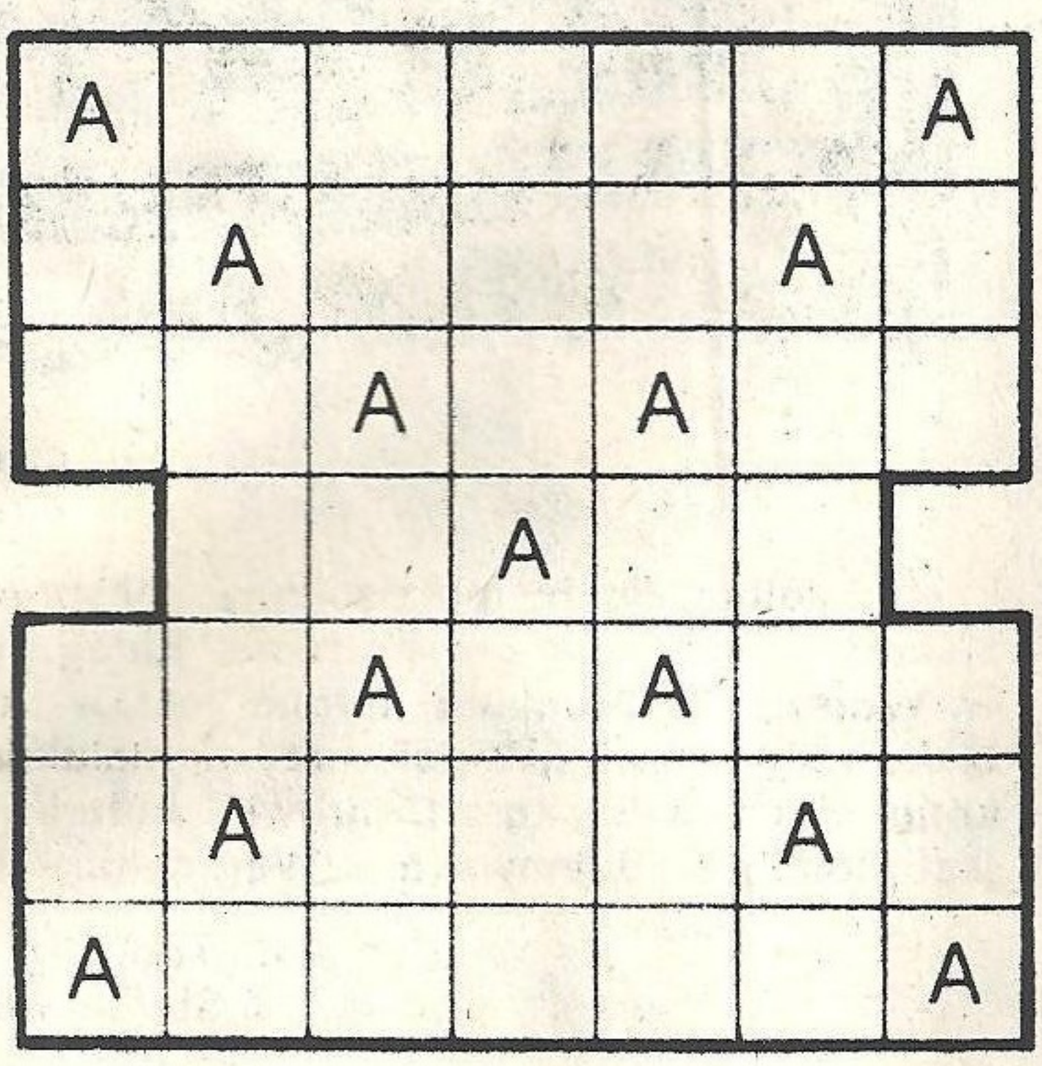

ROZWIĄZANIA Z NRÓW 17 i 18

Krzyżówka sylabowa. Poziomo: 3. stoper, 5. bażant, 6. łasica, 8. marabut, 10. koźlarz, 11. lama. Pionowo: 1. miasto, 2. sierżant, 4. perła, 5. baca, 8. malarz, 9. butla, 10. Koźle, 12. mamut. Jakie to ptaki? 1. jemiołuszka, 2. kuropatwa, 3. sikorka, 4. zimorodek; Krzyżówka. Poziomo: 3. sokół, 5. napój, 6. półka, 7. derka. Pionowo: 1. topór, 2. sójka, 3. saper, 4. kółko; Zagadka geograficzna: Płynie Wisła od gór do morza. 1. Kraków, 2. Sandomierz, 3. Kazimierz, 4. Puławy, 5. Warszawa, 6. Włocławek, 7. Toruń, 8. Malbork, 9. Gdańsk; Ukryte owady: 1. bąk, 2. giez, 3. mucha, 4. ważka, 5. osa, 6. ćma, 7. komar, 8. trzmiel.

Zawiadamiamy naszych Czytelników, że w związku z podwyższonymi kosztami produkcji, cena „Płomyczka" w przyszłym roku podniesiona zostanie do 20 zł.

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 120 zł,
półrocznie — 240 zł,
rocznie — 480 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucję z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:

— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;

— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1985 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, I rotogr. 125 g, 86 × 122 cm, kl. V.
Zam. nr 1700/85 L-9

Nakład 430.370 egz.
INDEKS 36875

CENA 15 ZŁ

FOLKLOR POLSKI

Na fotografiach pokazujemy eksponaty ze zbiorów Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie. Modelka ubrana jest w strój kołbielski. Rzeźbę pt. „W polu przy ziemniakach" wykonał Wacław Suska z Dąbrówki. Autorką tkaniny jest Dominika Bujnowska z Węgrowa.
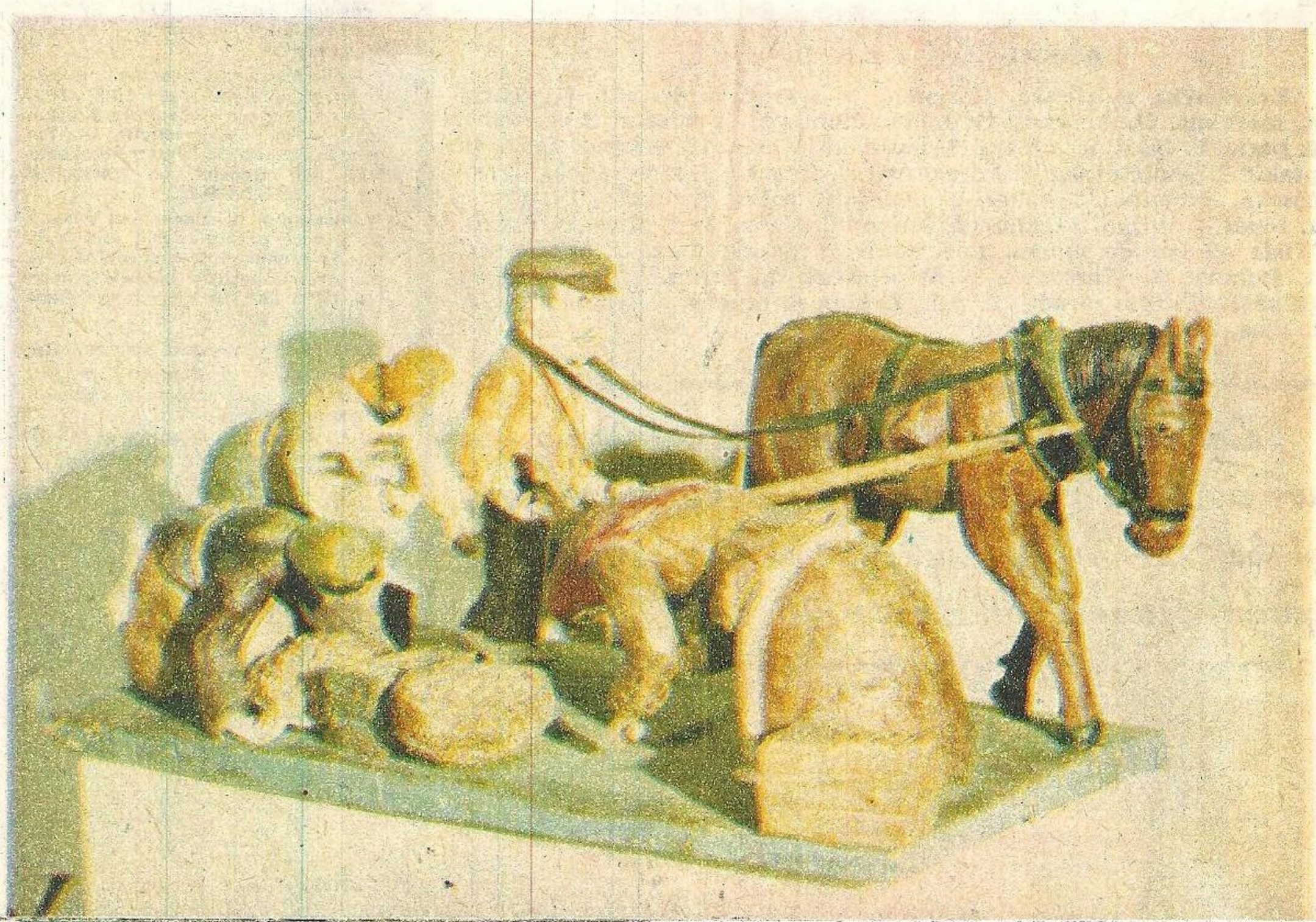
Fot. Tadeusz Czapski
i Stefan Rutkowski